



ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

ALEKSANDER JURKOWSKI

Jak ciocia Frania chleb piekła

— Jutro trzeba będzie chleb piec — powiedziała ciocia Frania, wychodząc ze spiżarni. — Ostatni bochenek napoczęłam.

Hania nastawiła uszu. Bo u cioci Frani wszystko było ciekawe i inne jakies niż w mieście. Przede wszystkim nie chodziło się na targ ani po mleko, ani po jajka, ani po jarzyny. Wszystko było tu „swoje“.

Hania prędko nauczyła się zaganiać kury, gdy gładzą „żeby jajek nie pogubily“, odróżniać w polu marchew od chwastu, a w lesie grzyb prawdziwy od bedłki. Ba, nawet krowę umiała już paść. Prawda, nie sama, ale gdy cioteczny Antek był niedaleko, zdobywała się nawet na odwagę kijem machnąć, gdy „Laciata“ próbowała w szkodę wejść. Ale do tej pory nie miała czasu zastanowić się, skąd ciocia chleb bierze.

Ciocia położyła przyniesiony bochenek na stole i dodała:

— Z nowego zboża teraz będziemy już piec.

— Jak się dzieci położą spać — powiedziała mama — to zaczniemy.

Hania tego ostatniego słowa nie zrozumiała, ale nie dopytywała się. Wiedziała już, że dorośli, gdy mają robotę, niechętnie odpowiadają na pytania. Lepiej już było wcześniej iść spać. Położy się cichutko i ukradkiem będzie obserwowała. Mama w domu czasami piekła bulki, ale to zwykle na święta lub przed imieninami, a przez cały rok pieczywo przynosiło się ze sklepiku na dole.

— Wiesz Helka — zwieryła się ciotecznej siostrze — pójdziemy dzisiaj wcześniej spać.

— A bo co?

— Bo ciocia będzie chleb piekła.

— Wiem. Ale dlaczego mamy wcześniej iść spać?

— Bo mama mówiła, że będą piekły dopiero jak my pójdziemy spać, a ja chciałam zobaczyć.

Helka wzruszyła ramionami. Nie bardzo rozumiała, o co Hani chodzi. Cóż takiego wielkiego pieczenie chleba? Co tydzień matka go piekła i dzieci już się do tego przyzwyczaiły.

Ale Hanka była cały wieczór podniecona i z niecierpliwością czekała chwili, kiedy już będzie można położyć się spać.

A taka była przy tym zdenerwowana, aż się matka zaniepokoiła:

— Czemu ona taka niespokojna? Czy nie chora przypadkiem?

— Nie chora — uspokoiła ciocia. — Pewno zmęczyła się. Biega cały dzień po polu, a nie przyzwyczajona. Wyśpi się i będzie zdrowa.



Hania prędko, jak nigdy, rozebrała się, wlała do wielkiego ciocienego łózka, na którym spała z mamą i przez szparę między kołdrą a poduszką zaczęła obserwować. Ale jak na złość nie się nie działo. Mama zmywała statki. Ciocia poszła do obory sprawdzić czy zamknięta. Potem znów prosiaki zaczęły kwiczeć i Hani już oczy zaczęły się kleić, gdy nagle posłyszała jakiś rumor. Ciocia wniosła do izby wielką dzieżę. (To była taka beczka, tylko nie pękata jak zwykle beczki, ale u góry węższa niż u dołu). Dzieża ta stała zawsze w sieni przykryta białym płótnem. Hania przez przymknięte powieki widziała jak ciocia razem z mamą nachyliły się nad dzieżą, potem wyjęły z niej coś co wyglądało jak kamyczek. Ale to nie był kamyczek. Ciocia pokruszyła i wrzuciła z powrotem do dzieży. Potem nałala wody, na-

spalała mąki, zamieszała drewnianą łyżką i przykryła znów płótnem.

— Tu koło pieca dosyć ciepło będzie.

— Żeby tylko nie wykopiało — powiedziała mama.

— Nie bój się. Jeszcze nigdy chleb mi nie wykopiał.

Hania z tej rozmowy nie rozumiała ani słowa. Wiedziała, że wykopieć może woda, mleko, zupa ale o tym, żeby kipiał chleb jeszcze nigdy nie słyszała. I jakże może wykopieć, kiedy nie stoi na piecu a w piecu zresztą i tak już dawno wygasło. Nie mogła jednak zastanawiać się nad tym, bo zasnęła i śniło jej się, że z ich wielkiego czerwonego garneczka kipią rumiane bochenki chleba. Jeden za drugim wyskakują i spadają z sykiem na blachę. Hania tak się przestraszyła, że aż krzyknęła i otworzyła oczy. W izbie było już jasno, a z ogrodu dobiegał wrzaskliwy ćwierkot ptaków. A le syk, który Hania we śnie słyszała nie ucichł i teraz. Najwyraźniej wydobywał się z dzieży. Hania cichutko, żeby nikogo nie obudzić wstała i na palcach zbliżyła się do pieca, koło którego na ławce stała tajemnicza dzieża. Syczało w niej coś i od czasu do czasu bulgotało jak gotująca się kasha. Delikatnie wspięła się na palce i sięgnęła ręką. I nagle, co to? Cała ręka zanurzyła się w jakąś ciepłą masę. Hania odskoczyła przerażona. Z ręki spływało na podłogę szare ciasto. Przebudziła się ciocia i, gorzej — przebudziła się mama.

— Ze też ona zawsze musi coś zbroić... Po coś tam zaglądała? — Teraz chleb się nie uda.

Na szczęście ciocia uspokoiła, że nie się nie stało.

— Ciekawa jest wszystkiego — powiedziała — nic dziwnego, nie widziała przecież jak się to u nas na wsi chleb piecze. Nic nie szkodzi — pocieszała zmartwioną dziewczynkę. — Już ja ci wszystko pokazę i podplomyk upiekę.

Było radości przy tym pieczeniu chleba co nie miara. Ciocia zaraz po śniadaniu na-

(Dokończenie na str. 3)



PRZYGODA *w Arteku.*

Do Arteku, wzorowego obozu radzieckich harcerzy posyłano tylko tych pionierów, którzy uczyli się dobrze. Co tam dobrze! Celująco!

A Wani stałe przytrafiały się trójki. Nie raz wyobrażał sobie, jak to będzie wspaniale, kiedy przyjdzie do domu z cenzurką i pokaże mamusi same piątki. Mama aż w ręce kłaśnie z radości. I zaraz kupi Wani łyżwy.

Nie, nie łyżwy, narty! A latem Wania pojedzie do Arteku. Na pewno!

Ale Wani zawsze coś stawało na przeszkodzie, żeby mieć same piątki. To nie zdążył odrobić arytmetyki, bo poszedł do kina, to z takim zapałem czytał przez całe popołudnie, że zupełnie zapomniał nauczyć się wiersza.

Na zebraniach pionierów mówiono nie raz o Waninych postępach w nauce. Przygadywano mu, że leń, że nicpoń, że hańbi czerwony krawat pioniera.

Wania się złościł.

— Ojej, raz zapomniałem się nauczyć, a oni zaraz, że leń, że nicpoń..

Mama wzdychała: Żeby też mogła przypilnować, jak Wania odrabia lekcje, żeby miała czas przypomnieć mu o tym i o o-wym, zapewne wtedy uczyłby się na same piątki, ale od czasu, jak ojca Wani Niemcy zabili na froncie, mama po całych dniach siedzi w biurze. Często wraca do domu wtedy, kiedy Wania już śpi i niewiele może mu pomóc.

Wreszcie Wanię wezwano na zebranie Rady Zastępowych. Wania nikomu nie opowiadał o czym tam mówiono, jedynie Witkowi, z którym był w przyjaźni oznajmił z godnością:

— Od dziś żadnych niedociągnięć! Zobaczysz! Jesteśmy pionierami, a pionier to ten, co innym toruje drogę i daje przykład. Pionier musi uczyć się na same piątki, rozumiesz?

Zbliżał się właśnie koniec roku szkolnego. Coraz częściej mówiono o wakacjach, o obozach dla pionierów, o tym kto w tym roku pojedzie do Arteku. Wania uczył się teraz po całych dniach. O kinie nie było mowy, zapomniał o spacerach, z czytelnicy przysłano upomnienie, że przetrzymał książkę: Wania się uczył..

Maria Teodorówna wychowawczyni V-tej A, rozdając promocje powiedziała:

— Wania Kalmanow i Witek Bazarow jako uczniowie celujący pojedą w tym roku na obóz do Arteku. Zgłoszenia już zostały wysłane do Pałacu Pionierów. Zwróćcie się tam w przyszłym tygodniu, a otrzymacie skierowania..

Artek — po grecku znaczy „radość serca“. Artek leży nad Morzem Czarnym na Krymie. Rosną tam parki pełne cedrów, cyprysów i krzaków laurowych. Bieją korty tenisowe i place futbolowe, place dla koszykówki i place dla krokieta i wszelkich innych sportów. Zjeżdżają się tu pionierzy, ci najlepsi z rozmaitych krańców Związku Radzieckiego: Tatarzy i Gruzini, Uzbegy i Rosjanie, Białorusini i Czuwasi, Ukraińcy i Baszkirzy..

A choć rozmaitej barwy jest ich skóra, różny kolor włosów i oczu, wspólna ich łączy ojczyzna i wspólne zawołanie: „Bądź

gotów“! „Jestem gotów“! — to znaczy: „Jestem zawsze gotów walczyć o sprawę ludu roboczego“.

Jeszcze niedawno gospodarowali w Arteku Niemcy. Jeszcze niedawno toczyły się tu boje. A teraz znów powiewa tu sztandar radzieckich pionierów, znów o wczesnym poranku rozbrzmiewa pobudka, a wieczorem rozlega się chóralny śpiew i biją w rozgwieżdżone niebo młode głosy..

W obozie Wania i Witek nauczyli się wielu rzeczy: Umieli już budować szałas i robić pościel z gałęzi. Umieli rozpalać ognisko i urządzać zegar słoneczny na piasku. Umieli wspinąć się po górach tak zręcznie, szybko i lekko, że nawet starsi i silniejsi od nich zazdrościli im tej sztuki.

Najcięższa była wspinaczka na Górę Niedźwiedzia. Poszli na tę wycieczkę już pod koniec swego pobytu w obozie. Na postoju przy ognisku zastępowy opowiedział chłopcom podanie związane z tą górą.



— Dawno, dawno temu żył w krymskich lasach niedźwiedź o-łbrzym. Nikogo się nie bał i przed nikim nie schylał czoła. Butny był ponad miarę i ponad miarę wrzaskliwy. „Nie ma dla mnie rzeczy, której bym zdobyć nie potrafił“ — ryczał niedźwiedź na zebraniach leśnej zwierzyny — ciasno nam w tym lesie. Chodźcie za mną, a przeprowadzę was przez morze. Tam bory bujne, pełne miodu ule. Tam żyć będziemy wygodnie i panować nad inną zwierzyną“.

Ale zwierzęta nie ufały mu. „Nie przeprowadzisz nas przez morze. Utoniesz i zginiesz marnie i my z tobą“. Wtedy o-łbrzym-niedźwiedź uniósł się na tylne łapy i zaryczał z dumą i butą: „Wypiję Morze Czarne i po suchym jego dnie przeprowadzę was na brzeg drugi!“

I nagle zwierzęta zobaczyły, że niedźwiedź nie może się ruszyć, że kamienieją jego łapy, że pysk nie zamyka się więcej: Niedźwiedź za przechwałki swoje zamienił się w skałę o-łbrzymią i niedostępną.

I właśnie ta skała nazywa się Górą Niedźwiedzia.

Chłopcom bardzo podobała się opowieść zastępowego.

— To zupełnie jak z Niemcami. Oni się też przechwalali, że nas połkną jak pigułkę.

— Nie tylko nas — uzupełnił uwagę Wani druh zastępowy. — Niemcy chcieli połknąć Polaków i Czechów i Serbów i inne narody.

— Ale okazało się, że to tylko czcze przechwałki, zupełnie jak z tym niedźwiedziem, co to chciał połknąć Morze Czarne — orzekli chłopcy.

I już przez cały czas dalszej wycieczki wspominali żywe w ich pamięci dzieje niedawnej wojny, której ślady wciąż jeszcze widać było na Krymie

...Z dołu wierzchołek góry wygłądał tak, jakby go pokrywała szaro-zielona warstwa mchu, a tymczasem na szczycie rósł las dębowy, a na jednej z polanek stał dąb stary, spróchniały, szeroki i rozłożysty.

Kiedy wycieczka szła już z powrotem, dwaj przyjaciele, Wania i Witek, zostali nieco w tyle

— Słuchaj Witek — Wania z powagą podniósł palec do góry — w tej dziupli napewno znajdziemy jakieś skarby. Zobaczysz.

Witek sceptycznie wzruszył ramionami: — Czytałem, że niedźwiedzie właśnie w takich dziupli wyjmują nieraz plastry miodu, ale nie radzę ci tam wchodzić. Mogą tam być osy albo pszczoły.

— Kto nie ryzykuje ten nic nie ma — i Wania zdecydowanym ruchem sięgnął do wnętrza dziupli. Witek spojrzał na niego ciekawie. Ale Wania miał raczej zdumiony wyraz twarzy.

— Papier — rzekł po chwili — ktoś tu napakował papieru. Wyciągnął z dziupli rękę pełną różnokolorowych kopert. To były listy, listy, które schowane w starym dębie przetrwały wojnę i mówiły młodym pionierom o ich towarzyszach z dawnych obozów.

Wania z Witkiem tego dnia spóźnili się na obiad. Za to musieli odbyć dodatkową wartę. Ale wertowanie listów opłacało się bardzo. W jednym bowiem przeczytali:

„Droży towarzysze! Idźcie przez las na południo-zachód. Las jest gęsty i niezbadany. Uważajcie, żeby nie zbłądzić. Dojdziecie do kamienia, który się nazywa „Niedźwiedzim Uchem“. Stamtąd rozciąga się piękny widok na cały Krym“

Chłopcy pokazali ten list drużynowemu i poprosili o zezwolenie: Chcą wyruszyć z ekspedycją, dotrzeć do głazu, zgłębić tajemnicę lasu i opublikować swe odkrycie w Gazetce Ściennej ich drużyny.

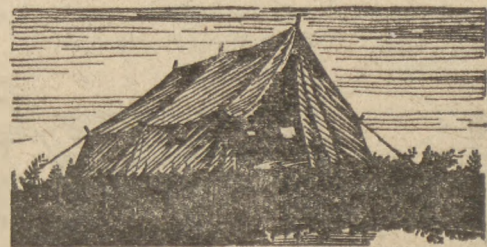
Drużynowy nie sprzeciwiał się, przestrzegając tylko, że do takiej wyprawy trzeba się starannie przygotować.

Zawrzała praca. Chłopcy zaopatrywali się w produkty, toporki, sznury, kompas, latarki, notatniki, słowem we wszystko, co jest konieczne dla ekspedycji.

Wyruszyli w pogodny dzień o wczesnym świtaniu. W powietrzu panowała cisza poranna, świergotały ptaki i rosa chłodziła bosa stopy.

GABRIELA PAUSZER-KLONOWSKA

(Dokończenie nastąpi)



Jak ciocia Fran'a chleb piekła

(Dalszy ciąg ze str. 1)

sypała do dzieży mąki, aż biały pył unosił się w powietrze jak we młynie. Potem zaczęła miesić, a miesiła tak długo, że się Hani zdziwiło patrzeć. Wujek tymczasem palił w chlebowym piecu. Nosił i nosił drzewo i ciągle je wkładał w wielki jak brama otwór pieca. Ogień huczał i w izbie zrobiło się gorąco. Wreszcie ciocia powiedziała, że ciasto już odstaje od ręki i że trzeba je teraz zostawić, żeby rośło.

— Idź bawić się — powiedziała — jak będziemy wkładali chleb do pieca, to cię zawołam.

Ale Hania bała się daleko odchodzić od domu. Chciała już widzieć wszystko od początku do końca. Co chwila też przybiegała do izby, ale tam nic się nie zmieniło. W piecu paliło się po dawnemu, ciocia nawet wyszła zająć się gospodarstwem. A Hani nic tego dnia już nie bawiło. Ani kury, ani prosięta, ani nawet kaczki, które tak lubiła zaganiać na wodę. Wreszcie ciocia powiedziała:

— Już — i zaczęła wyrabiać okrągłe bochenki i układać je na ławie na wielkich liściach kapusty. Wujek tymczasem wygarnął z pieca żar, wymiół palenisko.

Ciocia włożyła na sam początek dwa małe placki.

— Będą podplomyki dla dzieci — powiedziała.

Piec zamknęli. Teraz już nie tylko Hania, ale i Helka i Antek czekał z niecierpliwością na podplomyki. I gdy je wreszcie dostali, gorące jeszcze takie, że trudno je było utrzymać w rękach, tak się zajęli jedzeniem ich i smarowaniem masłem, które topiło się i sływało ze wszystkich stron po palcach, że Hania nawet nie zauważyła, kiedy chleb włożono do pieca.

Ale widziała, jak wujek na długiej drewnianej łopacie wyjmował z pieca upieczone już pachnące chleby. Ciocia odbierała je i przekładając z ręki do ręki (bo były bardzo gorące) ustawiała rzędem pod ścianą. A na samym ostatku wyjęła maleńki chlebek upieczony specjalnie dla Hani.

I ten był najsmaczniejszy.

Dwaj przyjaciele

Bimbuś był bardzo miłym i towarzyskim psiakiem, ale najbardziej ze wszystkich domowników kochał Hanię.

Gdy zdarzyło się, że dziewczynka skaleczyła sobie paluszek i płakała głośno, zaglądał jej w oczy niespokojnie, lizał ręce i skomlał, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie płacz, nie mogę patrzeć na twoje lzy”.

Ale miłość do Hani przysła, gdy w domu zjawiała się wrona. Hania znalazła ją w ogrodzie tuż koło altanki. Widocznie wypadła z gniazda.

Zaniosła ptaka do domu i pokazała mamie.



No tak, skrzydło było złamane i zwiisało bezwładnie, więc trzeba było związać je mocno galgankiem, aby się zagoiło i zrosło.

Wrona siedziała osowiała i smutna i nie chciała jeść nawet tak wspaniałych przysmaków, jak wijące się glisty, które Hania wyszukiwała dla niej z trudem w ogródku. Hania nazwała ją Kundzią.

Gdy Kundzia przybyła do domu, Bimbuś był bardzo zdziwiony widokiem nowej lokatorki. Ostrożnie skradając się obwąchiwał ptaszysko ze wszystkich stron i odskakiwał komicznie, warcząc groźnie.

Z czasem jednak przyzwyczał się do swej towarzyski, a w końcu przyzwyczajenie zmieniło się w gorącą przyjaźń. Spali razem na jednym pościu, a najulubieńszym miejscem pobytu Kundzi — była głowa Bimbusia.

Systematycznie każdego dnia odbywała się uroczyste poranna toaleta. Kundzia z zamiłowaniem czyściła dziobem kudły Bimbusia, a on lizał troskliwie jej piórka.

Gdy skrzydło zrosło się już pięknie, Kundzia codziennie udawała się na poranną przechadzkę i przez otwarte okno wyfruwiała w szeroki świat. Zawsze jednak wracała do domu i do swego przyjaciela Bimbusia.

Pewnego dnia jednak nie zjawiała się wcale. Może bury kot Maciek zakradł się zdradziecko i zdążył pochwycić swą ofiarę, albo źli chłopcy trafili ją z łuku, może przyłączyła się do stada innych wron, nie wiadomo, dość, że zaginęła po niej wszelki ślad.

Bimbuś szukał jej po wszystkich kątach na próżno i tęsknił za swą przyjaciółką ogromnie. Stracił humor i apetyt i godzinami leżał nieruchomo na podłodze, wpatrując się w okno w nadziei, że zobaczy tam Kundzię.

Pewnego ranka Hanię obudził przeraźliwy hałas. Bimbuś szczekał, jak szalony. Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka i zobaczyła taką scenę: po parapecie okna spacerowała gromadka wron, a jedna z nich natarczywie usiłowała dostać się do pokoju. Gdy Hania otworzyła okno, ptaszysko sfrunęło na poręcz krzesła, aby po chwili namysłu ulokować się na głowie Bimbusia.

To była Kundzia. W dziobie trzymała jakieś śmiecie, które triumfalnie złożyła przed swym przyjacielem. Prawdopodobnie miał to być prezent, lub może przeprosiny za długą rozłąkę.

Powitanie przyjaciół było bardzo czułe.

Stado wron za oknem na próżno czekało na swą towarzyszkę. Kundzia pozostała z Bimbusiem.

HALINA TOLŁOCZKO



BENEDYKT HERTZ

KRZYSIA I JANEK na wakacjach

Za to każda bitwa kończyła się przyjemnie. Powyrywane chwasty wozilo się taczkami w sam koniec ogrodu i składało na kompost.

Może nie wszyscy wiedzą, co to takiego kompost?... Nie kompot, nie! Kompost! To zupełnie co innego. Rolnicy mówią, że w gospodarstwie nic się nie marnuje. I rzeczywiście, tak jest. Bo nawet resztki jedzenia, pomyje, wszelkie odpadki zwierzęce i roślinne, zebrane i pozostawione tak, by przegniły, z dodatkiem wapna zmieniają się w doskonałą ziemię ogrodową. Ciocia bardzo dbała o gromadzenie kompostu i miała zawsze w końcu ogrodu kilka porządnie oklepanych kup w kształcie ściętych piramid (nazywano je mylnie przyzrami), które dla ozdoby pokrywały wielkie łście dyni.

11)

Tam to właśnie woziliśmy taczkami nasze zbiory i coraz to kto inny pchał taczke, a kto inny siedział na niej.



Nad całą tą wojną z chwastami objął komendę Janek, jako wódz plemienia Bawolich Rogów. Zaraz po pierwszym śnia-

daniu ustawiał wojowników w dwa szeregi i zaczynało się od musztry:

— Bacność!... W prawo patrz!... Spoczni! Bacność! W lewo zwrot! Za mną — marsz! Raz dwa, raz dwa, lewa prawa, lewa prawa... Stój!

Zatrzymywaliśmy się przy wyznaczonych nam do oczyszczenia grzędach, a wówczas Janek... to jest chciałem powiedzieć Bawoli Róg podnosił rękę do góry i komenderował:

— W tyraliery! Naprzód, śmiało!

Dopiero wtedy wolno było brać się do pielienia. Bez musztry nikt nie miał prawa tknąć pokrzywy. Nikt, nawet Wawrusiowa.

Wspomniałem już o tej babinie. To ta, co Romkowi cudeńka o Borucie naopowiadała. Dorośli mieli ją za trochę obłąkaną, ale dzieciom się podobała. Podobała się za cudowne bajdy i za to, że nasze zabawy traktowała poważnie. Gdy tylko Janek jej powiedział, że jest wodzem plemienia i kazał stanąć na bacność, zaraz dwa palce przytknęła do czoła i zaszutowała.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Umiem z tego wycestrować
ciuchki rumiane.

Bielutkie rogalki —
z wszystkich jednakże:
wszystkie białe lukrowane,
nadziewane makiem.



te zwyczajne i te słodkie,
cukrem posypane.

I okrągłe obwarzanki
i precelki słone
i pachnące już z daleka —
strucelki plecione.

No i to, co każdy człowiek
musi mieć codziennie:
doskonały smaczny chlebek
jasny, albo ciemny...

Myślisz może, że ja jednak
jestem czarownikiem?
Nie. Ja jestem tylko zwykłym
skromnym piekarczykiem.

Jeśli i ty pragniesz poznać
moją dziwną sztukę —
przyjdź czym prędzej, nie zwlekając,
do mnie — na naukę!

JANINA WAZŁOWA

Choć nie jestem czarownikiem,
umiem dziwną sztukę...
Ale muszę mieć koniecznie
mąkę, drożdże, cukier.

Na dodatek trochę maku,
sól i masła nieco,
czasem kilka świeżych jajek
no i... ogień w piecu.



Najładniejsze opowiadanie p. t.

„Przygody Janka-rybaka“

przysłał RYSZARD LITYŃSKI

Ojciec Janka był rybakiem i mieszkali nad jeziorem. Janek bardzo lubił łowić ryby, więc ojciec zabierał go często na połowy ryb, a ponieważ Janek był bardzo grzecznym i posłusznym chłopcem, kupił mu wędkę.

Razu pewnego ojciec wyjechał do miasta sprzedawać ryby, wtedy Janek skorzystał z nieobecności ojca i poprosił matkę, by mu pozwoliła pójść nad jezioro łowić ryby.

— Dobrze — rzekła matka — idź, ale nie wracaj późno do domu.

— Zabrałbym też z sobą Burka, gdyby mamusia pozwoliła.

I na to dobra matka się zgodziła, ale zastrzegła sobie, że Janek musi na Burka uważać, by nie zaginął. Uradowany i zadowolony Janek ucałował serdecznie matkę, zabrał wędkę i Burka i poszedł nad jezioro. Pierwszą jego czynnością było wyszukanie pędraków, a gdy mu się to udało, usiadł na pniu zwalonego drzewa i zarzucił wędkę. Siedząc patrzył w niebo, obserwował latające ptaszki i zastanawiał się jaką on też złowi rybę, czy dużą czy małą?

Nagle uczył, że wędka zaciążyła mu w rękach, wyciągnął ją i ku swej wielkiej radości wyciągnął dużego karpia.

— Ho, ho miałem dobry połów — krzyknął wesoło Janek.

Złapał prędko rybę, wędkę i kota i pobiegł do domu.

W domu zastał ojca, który na widok wielkiej ryby bardzo się ucieszył, uściskał syna i powiedział, że Janek będzie w przyszłości dobrym rybakiem i że rodzice będą

mieć z niego wielką pociechę. Matka usmażyła rybę na kolację i najlepszym kąskiem uraczyła Janka. Po smacznej kolacji Janek udał się na spoczynek i śnił błogo o pięknie udanym połowie.

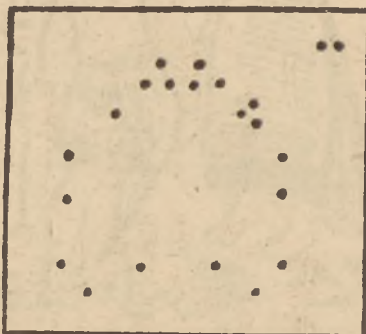
Lityński Ryszard

ucz. kl. 6, ur. dn. 4. 8. 1936 r.
we Lwowie.

Dziewczynkę, która podpisała się „Waleria Wątróbka“, prosimy o podanie swego nazwiska i adresu. Opowiadanie ładne. Żeby go jednak wydrukować, musimy wiedzieć, kto jest jego autorem.

KACIK ROZRYWKOWY

Lamigłówka kropkowa



Za pomocą linijki i ołówka połączcie kropki w ten sposób, aby otrzymać rysunek wazy z łyżką.

ZAGADKA

Kiedy przyjdzie pora
spadnie z góry, z nieba;
tak bardzo go ziemi
spragnionej potrzeba.

ROZWIĄZANIA Z NR. 23 (83)

Zagadki:

1. Kasza
2. młot — płot
3. rów — nów
4. książka
5. kłatka

ROZWIĄZANIA Z NR 24 (84)

Moje kurki

(Wierszyk do zgadywania):

Na miejsce kropek należy wstawić następujące wyrazy:

Kurkom, piórek, grzebień, psoci, stadko, gwarem, sidła, niemało, złamaną, powtarzał, ptaka, zdrowa.

Lamigłówka:

Sowa, czar, Alpy, brat, opos, stół, klon, barć.

S Z A R O T K A

Dopelnianka:

Po zastąpieniu kropek literami otrzymamy piętnaście nazw znanych i często u nas spotykanych drzew: klon, dąb, sosna, brzoza, osika, modrzew, jesion, topola, wierzba, kasztan, buk, akacja, grab, jodła, lipa.

Szarada:

KRA—SKA

